

Kronika tygodniowa.

W poprzedniej kronice zacząłem poruszać kwestię kanikuły, ale, jak dziś widzę, niepotrzebnie, gdyż raczej powinno się było zająć jesienią, która szybkim krokiem już się do nas zbliża. Świadczą o tem owe liście kasztanowe, które opadają już, ledwie się miały czas rozwinąć, co jednak, wedle zdania wtajemniczonych, ma podobno wpłynąć bardzo dodatnio na produkcję naszych, tak zwanych wyrobów tytoniowych. To nie jest zresztą żadną tajemnicą, gdyż w swoim czasie ogłosił zarząd monopolu, iż, z braku liści tytoniowych, będzie się używało innych, byle tylko zadość uczynić palaczom, nie mogącym się obejść bez owego knotka, który musi się im kopcić pod nosem.

A zdaje mi się, liście kasztanów to surogat bardzo niewinny, a do tego zdrowy i bardzo tani. Czytałem niedawno w jednym z pism humorystycznych, iż jakaś panienska w przystępie rozdrażnienia nerwowego popełniła samobójstwo, wbijając sobie w samo serce patyk, wyjęty z paczki tytoniu, nazywanego dotąd „trzynastką“, a dziś „dziewięćdziesiątką“. Autor artykułu twierdził, że ją uratowano, patyk szczęśliwie wyjęto, pacjentka zaś wyjątkowo nie umarła, ale odeszła do domu, wspierając się na nim, niczem na lasce. Byłem najpewniejszy, iż to przesada, tymczasem losy tak zrzędziły, że na własnej swej skórze miałem się sposobność o tem przekonać. Nad wszystko najbardziej zaś smakują mi cygara, któremi mnie ktoś poczęstuje, sam ich bowiem nie kupuję, nie mając czasu pół dnia stać w ogonku tytoniowym przed trafiką, by się potem dowiedzieć z różowych usteczek panny Zosi lub Rózi, że „wszystko już wysprzedane!...“

Onegdaj jednak poczęstował mnie cygarem, tak zwanem „portorikiem“, jeden z mych przyjaciół politycznych. Ugryzłem koniec, wydmuchałem, zapaliłem i ciągnę, ale, choć mi oczy na wierzch wyszły, nie mogę złapać powietrza. Zaczynam więc badanie i cóż się okazuje?... Z wnętrza wystaje coś twardego, za co naturalnie ciągnę i wyciągam coś, z czem w porównaniu ów patyk, którym chciała popełnić samobójstwo owa panienska, jest jeszcze niczem!... Był to po prostu drąg, mogący, w braku czegoś lepszego, stać się surogatem telegraficznego słupa!

Cygaro naturalnie zepsuło się najzupełniej, byłem jednak w tem miłym położeniu, iż miałem sposobność przekonać się, że i humorysty mówią i piszą czasem prawdę. Nie tracę przecież nadziei, że, po szczęśliwym zbiorze liści kasztanowych, jakoś tytoniu i cygar z pewnością się poprawi.

Niema więc złego, aby na dobre nie wyszło! Zresztą „kasztanina“ nie może chyba dla zdrowia ludzkiego mieć tak fatalnych następstw jak nikotyna, o czem szeroko i długo pisały różne powagi lekarskie, naturalnie z wyjątkiem tych, które same są zawodowymi palaczami. Bo wiadomo, że żaden lekarz nie zakazuje swemu pacjentowi tego, co jemu samemu smakuje. Choć są i tacy, ale czynią to tylko z obawy, aby im oni nie robili niepotrzebnej konkurencji.

Z kolei rzeczy, zanim zacznę o czem innem, muszę najpierw odpowiedzieć na dwa listy z ubiegłego tygodnia, nadesłane pod adresem kronikarza. W jednym z nich stawia pewien z Prenumeratorów wniosek, by, zamiast rubryki „Z tygodnia“, umieszczać jakąś powieść lub humoreskę, gdyż to, co się tam drukuje, czytało się już w pismach codziennych. Szanownemu Korespondentowi odpowiem tyle, iż na wyraźne żądanie wielu Czytelników zaprowadziliśmy tę rubrykę, chcąc, by „Nowości Ilustrowane“ były rzeczywiście prawdziwym odbiciem chwili obecnej, zwłaszcza, o ile to dotyczy spraw, ogół polski obchodzących, i po latach stanowiły pamiątkę tych czasów, jakie obecnie przeżywamy. Trudno jednak wszystkich zadowolić. Jednym się to podoba, drugim nie, na ogół przecież rubryka ta jest bardzo aktualną, daje bowiem Czytelnikowi jasny pogląd na to, co zaszło w ubiegłym tygodniu, a co nas dotyczy. W ilustracyjnej części naszego pisma tego zaś pomieścić nie możemy. Niech więc Szanowny Prenumerator raczy to przyjąć do wiadomości i nie gniewa się na nas, gdyż my staramy się tylko o zadośćuczynienie wszystkim uzasadnionym żądaniom naszych P. T. Czytelników.

O drugim liście (były to właściwie aż trzy kartki polowe) nie powinienem może pisać, gdyż autor prosi o tajemnicę, jeżeli zaś poruszam tę kwestię, to tylko dlatego, aby się pochwalić, że się przecież znalazła dusza szlachetna, która zaprosiła kronikarza na wakacje... do rowów strzeleckich na wschodnim froncie. I, kto wie, czy nie wybrałbym się, reagując na zaproszenie, gdyby nie to, iż nie podano mi dokładnego adresu, dokąd mam się udać, ale kazano kierować się kompasem, potem wynaleźć wysoką górę i tam pytać

się po węgiersku o dwu jednorocznych ochotników, którzy czekają na mnie i chcą mnie przyjąć z staropolską gościnnością. Nadto muszę się przyznać, że po węgiersku nie umiem, po górach spinać się nie potrafię, a do rowów strzeleckich widocznie się nie nadaję, skoro ostatnio, przy „musterunku“ litera T, powiedziano mi i nawet dano na piśmie, iż, na razie przynajmniej, zupełnie się tam bez mej osoby obejdą. Pocóż więc wywoływać wilka z lasu i pchać zdrową głowę pod ewangelię, jak powiada mędrzec Pański?

Zostaję więc w Krakowie, a ponieważ, jak wyżej się rzekło, jesień mamy już za pasem, zaczynam się przygotowywać do jesiennej kampanii, która do politykowania na szeroką skalę będzie może odpowiedniejszą, niż lato. Choć, prawdę powiedziawszy, to politykowanie, czy w lecie, czy w jesieni, to rzecz bardzo niewdzięczna. Daleko lepiej wychodzą ci, którzy do polityki zupełnie się nie zabierają, a wszelkie swe siły poświęcają różnym interesom, n. p. dostawom, na czem się teraz najlepiej wychodzi. Znam jednego pana, który na dostawie dziurek do guzików dorobił się już kolosalnego majątku i prosi Pana Boga, by wojna nigdy się nie skończyła, gdyż inaczej zamknięto by pole dla jego owocnej obywatelskiej działalności. Ale, zdaje mi się, jest w błędzie, jeżeli bowiem wojna dłużej potrwa (powiadają, że jeszcze trzy lata!...) łatwo stać się może, że bez dziurek do guzików będziemy się musieli obchodzić, nie mając co zapinać...

Nie zajmując się przecież interesami handlowymi i nie dostawiając nawet dziurek do guzików, zabrać się muszę z konieczności do polityki, do której najaktualniejszy obecnie temat, poruszony już przemianem w poprzedniej kronice, stanowi obecnie tak zwana ofenzywa rosyjska, która, wbrew życzeniom koalicji, zamieniła się w ogólny odwrót Moskali na całym froncie. Obrót zupełnie niespodziewany, mogący, a nawet muszący mieć bardzo doniosłe skutki dla obu stron wojujących.

Ofenzywy owej spodziewano się wprawdzie, ale nikt nawet nie przypuszczał, że ona taki będzie miała wynik i to do tego tak rychło. Na ogół mówiono, że Brusilow całą siłą będzie się starał opanować Borysław i okolice, aby mocarstwa centralne pozbawić nafty i benzyny. To był główny cel tej imprezy, która skończyła się przecież ogólnym faskiem. I Borysławia nie dostano, nie zaspokojono pragnień „naftowych“, co zaś ważniejsze, a czego się nie spodziewano, doczekano się też nadprogramowego przełamania frontu rosyjskiego pod Zborowem i Złoczowem. Obecnie na całym galicyjskim terenie, okupowanym dotąd przez Moskali, rozpoczął się nie planowy odwrót, ale paniczna ucieczka, przyczem okazała się najzupełniejsza dezorganizacja, panująca w armii rosyjskiej. Miast walczyć i zwyciężać, chcą żołnierze rosyjscy radzić i wiecować, a sprzymierzeni siedzą nielitościwie na karku i tłuką, co się zmieści.

Dla rządu tymczasowego, który ponadto musi walczyć z wrogiem wewnętrznym, to jest kontrrewolucją, podnoszącą ciągle głowę, perspektywa niezbyt miła. To też Rosya ogląda się za pomocą i wyciąga rękę, prosząc przyjaciół o wsparcie; w sierpniu ma się odbyć w tym celu konferencja przedstawicieli koalicji, aby omówić wytyczne przyszłego wspólnego, a planowego działania. Będzie ona tem się różnić od poprzednich, że, prócz dyplomatów, wezmą w niej udział także i przedstawiciele demokracji. Na razie wezwano Włochy, aby one rozpoczęły na gwałt ofenzywę, by w ten sposób odciążyć front wschodni i dać Rosji sposobność do ratowania swych niedobitków; czy się to jednak zda na co, wątpić wypada, gdyż, zdaje się, i Moskalom już ta wojna wylazi bokiem i byłoby raźni, gdyby można było raz ją zakończyć. Wobec tych niepowodzeń nie należy się też dziwić, iż ambasador angielski w Petersburgu, pan Buchanan, który przedtem kłaniał się carowi i całował jego nóżki, a potem umizgał się do rewolucjonistów i był z nimi za pan brat, ma podobno pójść w ślady pana Poincarégo (o ile to jest prawda, że ustępuje...) i podać się do dymisji. Szczęśliwa mu droga! Nazwisko jego zapisze w każdym razie historia bardzo krwawymi głoskami na swych kartach, a ludzkość nie nazwie go z pewnością dobrodziejem, ale zupełnie przeciwnie.

Jeżeli obecna akcja wojenna na wschodzie pójdzie dalej w tem samym tempie, co dotąd, na przyszły tydzień możemy się spodziewać uwolnienia Czerniowiec i zupełnego przepędzenia moskiewskiej dziczy wraz z jej francusko-angielskimi przyjaciółmi za słupy graniczne. Powinno się to stać już przed czwartkiem, nim niniejszy numer „Nowości Ilustrowanych“ znajdzie się w rękach P. T. Czytelników.

Co będzie później, tego na razie przewidzieć nie można, w każdym razie spodziewać się należy, że „dalszy ciąg nastąpi“.

Z obecnego stanu rzeczy jedni z naszych polityków są zadowoleni, widząc w tem zapowiedź rychłego końca wojny, inni natomiast potrząsają głowami i po-

wiadają, że właśnie dzięki tej ofenzywie wojna potrwa jeszcze przynajmniej ze trzy lata, każdy więc powinien być na tę ewentualność przygotowanym. Co się mnie tyczy, to nie podzielam zdania ani pierwszych, ani drugich, choć wolałbym, by się spełniło to, co mówią pierwsi, chciałbym bowiem już raz odetchnąć czystem, pokojowym powietrzem i przestać myśleć o apro wizacjach, rekwizycjach, musterunkach i tym podobnych przyjemnościach wojny.

Onegdaj zgłosił się do mnie pewien emeryt z prośbą o informację, czy to jest prawda, że rząd zamierza rekwizować cylindry. Pocieszyłem go, że była wprawdzie mowa o cylindrach, ale nie tych, które się nosi na głowie, ale owych, miedzianych, służących do ogrzewania wody w łazienkach. Odetchnął z ulgą i odeszedł, jakby mu kto kamień zdjął ze serca.

Tak, jak ów jegomość, który, zupełnie jednak niepotrzebnie, przeraził się, iż może być zmuszonym do złożenia swego ulubionego nakrycia głowy na ołtarzu ojczyzny, zaczynam się obawiać, iż, gdyby wojna miała się rzeczywiście jeszcze przeciągnąć, byłibyśmy narażeni na różne nieprzyjemności, w szczególności zaś na głodówkę przynusową, dającą się nam coraz bardziej we znaki. Po inne lata używało się o tym czasie na kwaśnem mleczku z ziemniakami, na kurczętach ze sałatą i innych tym podobnych delicjach, o których w trzecim roku wojny mieliśmy już czas zapomnieć, ceny ich bowiem są tego rodzaju, iż na zakupienie na przykład kilograma nowych ziemniaków, albo wiązki młodej marchwi, może sobie pozwolić chyba jakiś dostawca, szczęśliwy przedsiębiorca lub nieobdłużony kamienicznik. Do tej zwyczajki cen przyczyniają się głównie niesumienni spekulanci, zakupujący wszystko na lewo i prawo i wywożący to pocichu z kraju, bo dla nich nie istnieją żadne przepisy ani rozporządzenia. Byłby też najwyższy czas, by zabrały się do nich energicznie władze i postąpiły sobie z nimi tak, jak na to zasługują. Jestem przekonany, iż ogół przyjąłby wieść o tem z należytą radością i pełnem uznaniem. Na żądanie mogę wskazać kilku takich osobników, mających stale kieszenie wypchane różnemi próbkami towarów spożywczych, które ofiarują na sprzedaż po cenach isticie bajoniskich.

Na razie przybywa nam tylko zapas nowych kartek. Świeżo wydano je na pobór spirytusu denaturowanego, który od tego czasu zniknął zupełnie z widowni i czeka widocznie gdzieś w głębi piwnic spekulantów na lepsze czasy. Odnosne rozporządzenie krzywdzi głównie kawalerów, którzy kartek spirytusowych nie otrzymają, nie będą też mogli odtąd grzać sobie na maszynkach kawy lub herbaty. Czy jest to słusznem, nie wiem, zdaje mi się przecież, iż nie! Aby otrzymać prawo poboru spirytusu denaturowanego, trzeba się na gwałt żenić i postarać o małe dzieci, bo tylko takie rodziny przy jego rozdziale mogą być brane w rachubę. Być może, że przyczyni się to do zwiększenia ruchu małżeńskiego, ale tylko na razie, sklejone bowiem w ten sposób małżeństwa „spirytusowe“ rozlecają się z pewnością po wojnie.

W dalszym ciągu obiecują nam karty na mydło, potem na mięso, jaja i t. d., niedługo dojdzie więc do tego, iż każdy obywatel będzie musiał nosić ze sobą osobną tekę na ich pomieszczenie. Proponowano w tym celu specjalne kamizelki z całą seryą odpowiednich kieszonek, ale wynalazek ten okazał się zupełnie niepraktycznym, choćby tylko z tego powodu, iż o sprawieniu sobie dziś jakiejś części garderoby nikt nawet marzyć nie może. Choć znów niektóre panie nie robią sobie nic z ogólnej biedy i, jak nigdy dotąd, tak szeleszczą jedwabiami... Ale takich szczęśliwych wybranek losu nie jest wiele, ogromna większość jest w strachu, by nie powróciły dawne czasy, gdy to prababka nasza, Ewa, zadowalała się w rajach jeno liściem z łopucha.

Co do dni bezmięsnych, to podobno mają być w ich ugrupowaniu wprowadzone też pewne zmiany. Dwa dni będą przeznaczone na zupełne wstrzymanie się od mięsożerstwa, w dwa zaś następne wolno będzie spożywać nerki, flaki, wątrobę, mózg, płuca, kiełbasy, drób i dziczyznę, jeden zaś pozostanie nadal stale beztłuszczowym. W Lublinie zaprowadzono już dwa dni „bezmączne“ (poniedziałek i czwartek), a dwa „beziemniaczane“ (środa i piątek), u nas o czemś podobnem jeszcze nie słychać.

Nie jest więc dobrze, ale może być łatwo jeszcze gorzej i tego się właśnie obawiam i dlatego wolałbym, aby się wojna rychło skończyła.

Niepokoń mnie także pan Wilson, zbyt bowiem siedzi spokojnie i jakoś nie „puszcza pary“, co kazałoby wnosić, iż zapewne coś knuje... Przedtem myślał o pokoju, teraz myśli znów o wojnie, zmieniawszy „platformę“, nie można więc z góry przewidzieć, czego możemy się spodziewać z tamtej strony. Nie ulega kwestyi, iż ów „emerytowany apostoł pokoju“, raczej przygotowuje jakiś śmiertelny cios dla środkowej Europy.

Ala czy mu się to uda?